

Janusz (Krawiec) Wiśniewski

Zrządzenie



ZRZĄDZENIE

Imprezę urodzinową (huczną) miałem w sobotę. Dzisiaj jest poniedziałek i jeszcze boli mnie głowa. A nie powinna, bo właśnie dzisiaj, w poniedziałek 10 października, jest mój wyjątkowy dzień - kończę 40 lat! Niestety, ten dzień nie zapowiada się inaczej od dni biegnących wraz ze mną od lat. Zbliża się siódma. Jeszcze trochę poleniuchuję, powiercę się w łóżku, włączę jak zwykle radio stojące obok na stoliku nocnym. W końcu wstaję. Idę do łazienki, siusiu, zęby, golenie.

Moja żona jest już na nogach dużo wcześniej. Słyszę, jak przygotowuje śniadanie dla nas wszystkich. Słyszę, jak krzątają się dzieci w swoich pokojach. Oni wszyscy wyjdą z domu przed ósmą. Ja zasiądę do śniadania sam. Po dzieciach pozostanie tylko zapach kakao w niedopitych kubkach.

Mam dwóch synów, jeden od drugiego jest starszy o cztery lata i chodzi do szóstej klasy. Zjadam śniadanie, jem dwie kromki chleba z twarożkiem i łyżeczką dżemu. Wypijam herbatę z plasterkiem cytryny osłodzoną łyżką miodu.

Jestem krawcem. Moja pracownia mieści się kilka przecznic od mojego bloku, w którym na siódmym piętrze zajmujemy w czwórkę prawie pięćdziesięciu metrowe mieszkanie. Jak na czasy komuny, w tym M4 jesteśmy w miarę dobrze urządzoną rodziną. Również moja pracownia ma coraz lepszą renomę. Zatrudniam w niej trzech czeladników i czterech uczniów o różnym czasie stażu. Z reguły szyjemy ubiory dla panów: garnitury, smokingi, fraki, jak i wszelkiego rodzaju okrycia wierzchnie. Nieraz z mojej pracowni wychodzą również kostiumy i płaszczyki dla pań.

Zawsze, kiedy wchodzę do zakładu około godziny dziewiętej, zastaję już pracownię w pełnym rozruchu. Tylko otworzę drzwi, już czuję ten „krawiecki” zapach, zapach specyficzny. Lubię go, to zapach przypalonych żelazkiem lnianych

zaparzaczek, prasowanych wełnianych materiałów wyciągniętych z naftalinowych szaf, zapach odświeżanych garniturów wnoszących do naszej pracowni życie ich właścicieli, zapach potu pracowników. Lubię moją pracownię, lubię ten rytm, w którym wszyscy zasuwamy od rana, do późnego wieczora. Krawcy nigdy nie mieli uregulowanego czasu pracy. Jeżeli mogli w tygodniu zrobić jeszcze jedną „sztukę” więcej i dostać za nią dodatkową zapłatę, to to czynili. Tak jest i zawsze było, we wszystkich prywatnych zakładach i dlatego między innymi „prywaciarzom” żyło się dostatniej.

Dzisiejszego dnia, w poniedziałek 10 października, jestem już „wystrychnięty” (Cóżże się dzisiaj tak wystrychnął? – częste powiedzenie mojej żony) w garnitur dwurzędowy z dwoma rozporkami po bokach. Uszyłem go sobie z czystej wełny w kratkę, tzw. Prince de Gelles. Pod nim mam niebieską koszulę (niebieską, jak moje oczy), wiśniowy krawat i brązowe buty na nogach. W kieszonce piersiowej z artystyczną nonszalancją włożona (to też trzeba umieć!) poszetka w kolorze bliskim deseniowi krawata. Z reguły, tak „wystrychnięty” chodzę do pracy. Podobnież znajomi mówią o mnie, że jestem dewotem elegancji.

Jem spokojnie śniadanie, gdy nagle, przerywając domową ciszę, z przedpokoju dochodzi alarmowy dzwonek telefonu. Zrywam się od stołu.

– Szefie, musi pan natychmiast przyjść! Pani Szczudlarska przyniosła z powrotem płaszcz, który szyliśmy jej miesiąc temu. Awanturuje się. Chce widzieć się z Panem. Niech pan szybko przyjdzie!

Nie kończę śniadania, w pośpiechu wpycham do mojej wysłużonej aktówki przygotowany pojemnik z kanapkami i, nie czekając na windę, zbiegam pędem po schodach z ósmego piętra. Nie wiedzieć, kiedy znajduję się na skrzyżowaniu ulic 10-Lutego z Władysława IV. Już chcę przeciąć ulicę 10-Lutego, ale zatrzymuje mnie czerwone światło. Żeby być prędzej w pracowni, postanawiam zmienić

kierunek i zdążam na drugą stronę ulicy Władysława IV. Przebiegam ją, ale znowu ulicą 10-Lutego rusza potok aut i zatrzymuje mnie czerwone światło.

I nagle... coś we mnie pęka. Coś się ze mną dzieje. – Człowieku, stop! Dzisiaj są twoje czterdzieste urodziny! Rozejrzyj się dookoła, zobacz, jaki piękny poranek! Jak śmieje się do ciebie październikowe słońce! Gdzie pędzisz? Kim jest dla ciebie ta głupia baba, która od początku nie wiedziała czego chce? Ten płaszcz, najpierw skrociłeś luźny, bez wcięć, bo tak chciała. Potem go dopasowałeś, bo zmieniła zdanie w trakcie przymiarki. Teraz znowu krzyczy, że jest zbyt dopasowany. Człowieku, pieprz tę babę! Dzisiaj masz urodziny! Październik w prezencie daje Ci piękny słoneczny dzień!

Rzeka ludzi popłynęła na drugą stronę ulicy 10-Lutego. Nie poszedłem w kierunku mojej pracowni. Skierowałem się prosto nad morze.

Gdynia jest pięknym miastem. Tak mówią o niej, nie tylko jej mieszkańcy. Wśród śpieszących się gdzieś przechodniów, przecinając ulicę Świętojańską, skierowałem się w stronę Skweru Kościuszki. Tutaj, mimo wczesnej pory, ludzie już zasiadywali okolone krzewami ławki. Niektórzy czytali prasę, inni wystawiali twarze w kierunku październikowych promieni. W pobliżu nich, ćwierkały rozrabiające wróble. Wyjątkowo ładny dzień - pomyślałem, kierując się w stronę topolowej alei, którą złocieniami zdążyła już przyprószyć śpiesząca się jesień. W topolowych liściach figlowały promyki słońca. Napawałem, napawałem oczy, tym cudownym objawieniem jesieni. Znalazłem się w świecie, o którym zapomniałem, że istnieje, którego już od dawna nie dostrzegałem. Nieraz, o istnieniu tego kolorowego świata, przypominały mi materiały. Te, na jesienne marynarki, kurtki, czy płaszcze. Te, wytwarzane na szkockich wyspach w manufakturowych warsztatach zgrzebne Harris Tweedy, te angielskie „Pure New Wool” krepy, czy miękkie flanele... Zapewne właśnie w takie, październikowe dni, wzorując się na kolorach lasów, pól, łąk i parków, styliści ten koloryt potem

przenoszą na materiały - z których, my krawcy, mozolnie wyczarowywać będziemy jesienne kreacje.

Szedłem wciąż w stronę morza. Moje nozdrza coraz mocniej drażnił jego zapach. Już je z oddali widziałem: spokojne, lekko otulone bryzą. Było w pobliżu. Tuż, tuż. Akurat mijałem kompleks wojskowy i Muzeum Marynarki Wojennej. Wokół krzątali się żołnierze, marynarze w płóciennych, białych bluzach miękkimi, tanecznymi ruchami, jakby lewitując nad ziemią, zgrabiali spadające z drzew kolory. Wszystko to przypominało scenę z opery. Urzeczony widokiem, mógłbym przysiąc, że słyszałem jesienne akordy Vivaldiego, w takt których poruszali się marynarze, spadały liście z drzew, igrały wśród gałęzi, wśród brązów i złocieni promienie słońca. W końcu znalazłem się na bulwarze. Idąc, trzeba było się dobrze wsłuchiwać, by usłyszeć fale, które nie wiedzieć skąd się biorąc, delikatnie muskały przybrzeżne głązy. W oddali szarobłękitna tafla morza była niema. Tylko głośnie skrzeki mew i rybitw przerywały ciszę. Dwa łabędzie – zapewne parka – pływały z gracją, z dostojeństwem w pobliżu falochronowych głazów. Bulwar był jeszcze pustawy. Od czasu do czasu ktoś przejechał na rowerze, ktoś w dresie biegł swoim tempem, minąłem też dwóch człapiących emerytów. Idąc tak wzdłuż bulwaru, dojrzałem w oddali czyjąś sylwetkę, wokół której rozwrzeszczana chmara ptaków, walczyła o kawałki rzucanego nad wodę pokarmu. W tamtą stronę zaczęły płynąć łabędzie, w tamtą stronę szedłem i ja, niosąc w sobie radosny spokój, odbijany od tafli morza.

Była to kobieta, właściwie dziewczyna, licealistka? Zbliżałem się do niej, oceniając, kto zacz. Miała na głowie śmiesznie przekrzywiony czerwony berecik, spod którego wystawały dwa jasne kitki. „Pipi Langstrump” - one teraz, po tym filmie dla dzieci, próbują wszystkie być nią, niezależnie od wieku – dodałem w myślach, przypatrując się dokładniej sylwetce dziewczyny. Ubrana była w malinową pikowaną kurteczkę z madery, całą zadrukowaną napisami w języku

angielskim, i niebieskie dzinsy. Niebieskie, jak jej oczy, które na chwilę oderwała od morza, od rozkrzyczanych mew. Jej spojrzenie najpierw bojaźliwe, potem przenikliwe, w końcu figlarne, taksowało mnie „od stóp do głów”. W pobliżu niej, na szerokim betonowym falochronie, leżała brązowa teczka, upstrzona masą lśniących w słońcu klamerek, suwaków, ozdobnych skuwek. Zapewne pełna książek – pomyślałem. Obok teczki, oparta o ścianę falochronu, stała długa, czarna tuba ze zwisającym płóciennym paskiem. Dziewczyna rzucała już ostatnie kawałki chleba rozkrzyczanym ptakom.

– Mogę... przystanąć, popatrzeć? – zapytałem, mimo, że już stałem i przyglądałem się z ciekawością i jej, i ptakom walczącym w powietrzu o kawałki rzucanego chleba.

– Są niesamowicie sprytne – nie odpowiadając na moje pytanie, stwierdziła dziewczyna. Walczą o byt, bardziej zaciekle od nas, ludzi – dodała.

– Dziewczyno, coś ty możesz wiedzieć o walce o byt? – uśmiechając się, zapewne głupawo, ledwie utrzymałem tę myśl w sobie.

Ona dalej nie spuszczała ze mnie oczu, świdrując mnie jeszcze dogłębniej, przenikliwiej, i... coraz bardziej zuchwale?

– Przyplłynęły łabędzie – powiedziałem jakoś tak bezmyślnie - ot, po prostu, by cokolwiek powiedzieć, bo, łabędzie miały jeszcze kawałek drogi do przebycia w pobliże nas.

– Płyną tak dostojnie. Wyglądają, jak... pan. Pan też jest taki gładziutki, elegancki, ubrany... jak do teatru. Skąd się Pan tu znalazł, w tym porannym, nadmorskim krajobrazie? - Prezes? – Ostatnie słowo ledwie musnęło moje uszy, wypowiedziała je jakby z ironią, i chyba tak - by nie być pewną, czy je usłyszę.

– Przepraszam, ale...

– Wiem, wiem, po ubiorze widać, że jest pan prezesem jakiejś firmy, albo banku, albo może... mecenas! Jest pan adwokatem? – przerwała mi moje zakłopotanie związane ze znalezieniem sensownej odpowiedzi.

– Nie, ale... ja...

– No, dobrze, mnie to pójdzie chyba szybciej. Jestem w klasie maturalnej Liceum Plastycznego. Tu, niedaleko jest moja szkoła. Zna pan Orłowo, Trójmiasto? Wygląda pan jak nietutejszy, ale... ładnie, ze smakiem. Kiedyś będę tworzyła takich faciów jak pan. To znaczy ich ubrania, ich wizerunki. W panu, w pana ubiorze jest harmonijna elegancja... i, dobroć... i, bezpieczeństwo. Jest pan dobry? Bezpieczny? Można na panu polegać? – zaśmiała się całą bielą ładnych zębów.

Mam czterdzieści lat. Od przeszło dwunastu lat jestem żonaty. Zdawało mi się, że jestem pewny siebie, obyty w podobnych sytuacjach, a tu, nagle, teraz? - Czuję, że się rumienię i brakuje mi języka w gębie.

– Tak, jestem na Wybrzeżu w... delegacji (czemu kłamię?), udało mi się znaleźć trochę czasu, uciec od obowiązków... Chciałem usłyszeć, poczuć, zobaczyć morze, jego zew...

– Mam na imię Anita – dziewczyna przerywa moje dyrdymały i podchodząc bliżej podaje mi rękę.

Skwapliwie, przez chwilę przytrzymuję jej małą dłoń w swojej, chyba tylko po to, żeby wymyślić dla siebie, nie wiedzieć, czemu, jakieś obce imię i nazwisko. - Ludwik Wolski – dukam w końcu. Przyjechałem z Wrocławia... Mamy na Wybrzeżu, w Gdyni konferencję... Jestem... – tu nastąpiła przerwa, której nijak nie umiałem wypełnić.

– Biznesmenem, Prezesem albo Mecenasem – zgadłam? - weszła ponownie mi w słowo, widząc, że się plączę. Mój ojciec też był taki elegancki, był właśnie

adwokatem. Rodzice rozwiedli się. – Ostatnie zdanie powiedziała jakoś tak... - Wyglądało na to, że wyrwało się jej nieopacznie.

Dobrze mi było z tym, że ona mówiła i mówiła. Mógłbym tak patrzeć i patrzeć na jej twarz, na jej usta. Właśnie, gdy się uśmiechała albo mówiła, jej twarz nabierała jeszcze większego blasku.

– Tooo, kim pan jest w końcu? Co pan robi?

– Mamy konferencję w... Izbie Wełny – dodałem, przypominając sobie mojego klienta, dyrektora tej Izby.

– Och, to może kiedyś, spotkamy się na tej niwie?! Chcę zostać projektantką mody. Podoba mi się pana wizerunek. Jest pan dobrze „skomponowany” – znowu przejrzała mnie swoimi niebieskimi oczami od stóp do głowy.

– Dziękuję...

– Nigdzie się pan nie śpieszy?

– Nie...

– Ja też... - Nie pójdę dzisiaj do budy. Zrobiłam sobie wolne, dzisiaj są moje urodziny.

– Naprawdę?! – Prawie wykrzyknąłem. – Ja też mam dzisiaj urodziny! – dodałem szybko.

– Z, pod jakiego pan jest znaku? – zapytała podejrzliwie, świdrując swoimi chabrami moje też niebieskie, ale już chyba trochę wyblakłe.

– Waga! – wykrzyknąłem pewnie i wtedy, spontanicznie przykleiliśmy się do siebie, radośnie ściskając się i obdarowując życzeniami niczym starzy znajomi.

Niosła ze sobą zapach jaśminu, pachniała jaśminem, gdy (chyba przypadkiem?) musnąłem ją w szyję, gdzieś za uchem. Nagle odskoczyliśmy od siebie przestraszeni tym, co robimy. Potem ona, przenikając mnie spojrzeniem tak dogłębnym, jakby oczami chciała mnie przejrzeć na wylot - spontanicznie, naiwnie dziewczęco wyszeptała:

– Chce pan... Możemy mówić sobie na „ty” – i, jakby wyzbywając się zawstydzenia, po chwili dodała głośniejszym głosem – Chcesz, żeby ten dzień był dla nas wyjątkowy, zaklęty, czarowany?

– Tak, bardzo! – Te dwa słowa wyleciały z moich ust bezwiednie, ale wiedziałem, wiedziałem, że popłynęły z głębi serca. Uniosłem jej rękę i delikatnie ucałowałem wnętrze jej dłoni. Mimo, że mi na to zezwoliła, złąłem się. Czyż, ten pocałunek, nie jest już za bardzo śmiały, mówiący o... – trwożna niedokończona myśl przemknęła po mojej głowie.

– Zakrzyczą nas te ptaszyska. Już nie mam chleba, a one wciąż się domagają, chcą i chcą, żeby je karmić – powiedziała teraz ona również trochę zmieszana.

– Mam kanapki! – krzyknąłem triumfująco i sięgnąłem po aktówkę, którą wcześniej odłożyłem na falochron, obok jej teczek. W plastikowym pojemniku, leżały jedna na drugiej starannie ułożone, poobkładane wędliną i pociętą w plasterki rzodkiewką kanapki.

– Takie kanapki może zrobić tylko matka albo... kochająca żona – powiedziała Anita biorąc jedną i z apetytem nadgryzając kęs. – Mam większy apetyt na tę kanapkę niż te mewy – dodała, znowu uśmiechając się promiennie.

Spróbowałem jeść drugą. Jedząc, uśmiechaliśmy się do siebie, a tymczasem ptaki, zataczały nad nami coraz śmielsze, agresywniejsze kręgi, domagając się swym skrzekopiskiem, byśmy dzielili się z nimi.

– Kochająca żona... – powtórzyłem z gorczy w głosie po dziewczynie - nie mogąc ustrzec się złych skojarzeń. – Kochająca żona - minęło bezpowrotnie – dodałem.

– A więc... - Jest pan... Jesteś żonaty. Piękna żona, dwójka dzieci i, jak w filmowym romansie, Ty w małżeństwie nieszczęśliwy, nierozumiany, niekochany... - trafiłam? - Tylko, proszę cię, nie kręć, nie opowiadaj mi farmazonów. Nie okłamujmy się - chociaż dzisiaj, w nasze urodziny. Spróbujmy się zaprzyjaźnić, niech to będzie nasz zaklęty, czarowany dzień! Okej - proszę Pana?

– Tak... – zdziwiony śmiałością wyrażania przez nią swoich myśli, spróbowałem wejść w słowo i, jakoś się wytłumaczyć, ale ona mówiła dalej i za mnie:

Rozsypuje się wasze małżeństwo. Żona, wszystkiemu jest winna żona. Żona cię nie rozumie, nie kocha - więc ty - proszę pana Prezesa - też masz tego wszystkiego dosyć... – kończąc swój wywód kpiącym uśmiechem dodała: Stary film, stara śpiewka! Coś wiem na ten temat! Moi rodzice...

– Jesteś... bardzo dojrzała, mądra, jak na... – próbowałem znowu wejść jej w słowo...

– Jak na mój wiek. Wiem, wiem, często mi to wokoło powtarzają, ale ja zbyt szybko, niestety, poznałam życie. Szybko musiałam dojrzeć. Widziałam, jak rozwodzili się moi rodzice, byłam w środku tajfunu..

Mówiła, mówiła za siebie i za mnie. Nie przeszkadzało mi to. Wręcz odwrotnie, patrzyłem z lubością na jej ładnie układające się usta, na biel równych zębów i... podziwiałem jej niebywałą rezolucję.

– Powiedz, zdradziłbyś żonę? - Na przykład dzisiaj, ze mną? Powiedz! - nagle wystrzeliła Anita – całkowicie zaskakując mnie tym pytaniem.

– To dzieje się tak szybko, nagle... Jesteś taka..., taka powabna, dziewczęco urocza... - Trudno by było oprzeć się Tobie...

– I taka mądra, że... nie obiecuj nic sobie. Na pewno nie pójdę z Tobą... Proszę pana Prezesa do łóżka. Nie, nie, nie będziemy uprawiać seksu! – zaśmiała się rozbawiona i dodała niespodziewanie bezwstydnie – Chociaż, przed chwilą, bardzo tego pragnęłam! To jest Twój i mój wyjątkowy dzień Wago! – mówiła, mówiła - nim ja w końcu zdołałem wydusić z siebie:

– Nikt by się tobie nie oparł... Anito.

– Wszyscy mówią na mnie An. - Ci wszyscy, którzy są blisko mnie...

– An, dzięki Tobie, ten mój urodzinowy dzień i dla mnie zaczyna nabierać wyjątkowego kolorytu.

- Mój też zmienia barwy... Co robimy dalej? Nie schrzańmy go.
- Usiądziemy na ławce, dokończymy kanapki? – zapytałem bez polotu, ale widząc, że An uśmiecha się jakoś tak pobłaźliwie kpiąco, dodałem szybko – A, później, zaproszę cię na kawę! – Na pewno, gdzieś w pobliżu jest przytulna kawiarenka.
- I opowiesz mi o sobie? Co robisz? Kim jesteś? I w ogóle?
- Będę, będę tylko dla ciebie. Czy jest tu gdzieś w pobliżu jakaś kawiarnia?
- Nie, nie pójdziemy do kawiarni, lepiej nie – marszcząc nosek, dodała po krótkim namyśle An. – Zapraszam cię do siebie, Ty mój... prezencie urodzinowy! Moja niespodzianko! Mam wolną chatę. Mama jest lekarzem, ginekologiem, wróci do domu późnym wieczorem. Napijemy się kawy u mnie, chodź. Już zawiesiła sobie na ramieniu tubę, już trzymała w ręku teczkę.
- Mogę ponieść teczkę? Zapewne jest pełna książek. Co masz w tej tubie? - Szkice? Obrazy?
- Nie chodzę na wagary, ale przez te moje urodziny... I przez, czerwone światło na przejściu. - Czerwone światło na przejściu zagroziło mi drogę i... Coś dzisiaj we mnie pękło! Wyszykowana do szkoły, z odrobionymi lekcjami i w ogóle, nagle zmieniłam kierunek. Sama nie wiem, jak znalazłam się tutaj - zamiast w szkole, na lekcjach.
- An... mnie też czerwone światło na przejściu skierowało nad morze. Ja też powinienem być od rana w pracy - to niesamowite!

W taksówce, delikatnie ścisnąłem jej dłoń, którą podsunęła pod moją. Do Małego Kacka, gdzie mieszkała w jednorodzinny domku, dojechaliśmy bardzo szybko, cały czas szukając w naszych oczach odpowiedzi na to, co jeszcze może się wydarzyć. W domu, w jego holu, od razu przywitał nas kot bez jednego oka. Łasił się do mnie i do An, ocierając się o nasze nogi.

– No, czego? Masz wszystko, tylko brakuje ci miłości? – An przycupnęła, głaszcząc kota po wyprężonym grzbiecie. – Przybłąda, dachowiec – dodała.

– An... Wszystko ok, że tu jestem? – zapytałem, wchodząc do przestronnego, ładnie urządzonego salonu. Naprawdę czułem się nieswojo, teraz razem w jej domu - ja, czterdziestoletni żonaty facet z dwójką dzieci - i ona, licealistka...

– A czy coś złego się dzieje? Napijemy się kawy, pogaworzymy... Ile masz lat? – wystrzeliła pytaniem, a potem, poleciały następne: – Jak ma na imię Twoja żona? A Twoje dzieci? - To chłopiec i dziewczynka? – Strzelała jak z automatu.

– Dwóch chłopców. Tak... - zacząłem odpowiadać głośniej, bo ona już krzątała się w kuchni.

– Co tak?! – przerwała chwilę ciszy, której nie wypełniałem słowami.

W sukurs przyszedł mi włączony młynek mielący kawę, zagłuszający nasz dialog. Zapach kawy zaczął roznosić się po całym domu, gdy ja, siedząc zatopiony w miętkościach ciężkiej, skórzanej kanapy, z nieukrywaną ciekawością rozglądałem się dookoła salonowego wnętrza. Na ścianach, oprócz obrazów w starych złoczonych ciężkich ramach, wisały też inne – zapewne namalowane współcześnie - domyślałem się, że przez Anitę.

– Co tak?! – usłyszałem ponownie, gdy młynek przestał nas zagłuszać. - Nooo...? - Taaak, mam dwóch chłopców...

Chwilę trwało, nim An ponownie pokazała się w salonie. Miała teraz rozpuszczone, lśniące włosy i jeszcze bardziej pachniała jaśminem. Nie miała już na sobie niebieskich dżinsów i maderowej malinowej zadrukowanej bluzy. Była w miękkiej, chyba zrobionej ręcznie na drutach z moherowej włóczki króciutkiej, niebieskiej, mocno opinającej jej kibić sukieneczce. Nie zauważyłem pod nią stanika... Niosła na tacy dwie filiżanki z parującą aromatyczną kawą, dzbanuszek z mlekiem, cukiernicę i jakieś czekoladowe ciasteczka. Postawiła tacę na stoliku

przy tapczanie. Mam jakiś alkohol... – powiedziała, otwierając drzwiczki barku. Usłyszałem brzęk kieliszków. Na stoliku pojawiła się butelka przedniego koniaku.

– Nalejesz? Włączę muzykę. Co lubisz?

Zaskakiwała mnie wszystkim. I swoim niesamowitym teraz cholernie sexy wyglądem i pewnością siebie i w ogóle...

- Nic mi nie przychodziło do głowy. – Może jazz, blues? – powiedziałem w końcu, sam nie wiedząc dlaczego i zacząłem nalewać do obłych konikówek miodowy w kolorze płyn. Zapełniłem dno kieliszków, pozostając nad nimi z butelką. – Okej - tyle? – spojrzała w moim kierunku – Jeszcze, jeszcze troszeczkę. I co z tą muzyką? Blues?

– Tak, może być blues... - ale tak naprawdę, wolę słuchać twojego aksamitnego głosu, porozmawiajmy...

– Za nasze poznanie! Za nasze urodziny! Za naszą przygodę! – jej słowa i brzęk kieliszków wkomponowały się w chrypkę Armstronga. Zdziwiłem się, że Anita opróżniła swój kieliszek jednym haustem. Szybko zrobiłem to samo. Popiliśmy kawą. Chciałem wziąć od niej butelkę, którą ona teraz znowu trzymała nad kieliszkami, ale odepchnęła lekko moją rękę i zaczęła napełniać kieliszki o wiele pełniej, niż zrobiłem to ja poprzednio. Armstrong w tle sentymentalnie, miłośnicie chrząkał już drugą melodię tym razem: Hello Darling...

– Za naszą przygodę! – Anita znowu uniosła kieliszek, brzęk szkła... upiliśmy po sporym łyku. Nie minęła chwila a ona znowu, jakby się gdzieś śpiesząc, powtórzyła stuknięcie i przechyliła kieliszek do dna, a potem, zabierając ze stołu butelkę podała mi drugą rękę zapraszając:

– Chodź, weź kieliszki, chodź pokażę ci mój pokój na górze, nim kawa trochę przestygnie. Wyszarpując mnie z kanapy, pociągnęła za sobą po krętych schodach. Znaleźliśmy się w pokoju. W pokoju dziewczęcym, pokoju licealistki,

pokoju plastyczki wrażliwej na artystyczne piękno. Był kolorowy, pełen plakatów, szkiców, rysunków, ale i misiów, lalek, pluszowych kotków i piesków.

– To Twój świat! To wszystko dookoła to Ty wyczarowałaś, namalowałaś... – Nie odrywając oczu od wiszących na ścianie kolorowych akwareli, olei, a nawet linorytów, powiedziałem tak - by moje słowa nie zabrzmiały pytaniem.

Anita odstawiła swój już pusty kieliszek, wzięta z mojej ręki mój jeszcze nie do końca opróżniony i... przechyliła mi go do ust. A, potem...

– Nie chcesz mnie pocałować?

Usta An, znalazły się tak blisko moich, że poczułem jej koniakowy oddech. Nie umiałem ukryć zaskoczenia... - jej gotowością?!

– An... Jestem żonaty, rzeczywiście mam dwoje dzieci... – położyłem ręce na jej ramionach jakoś tak niezgrabnie, jakbym czyniąc to, nie chciał dopuścić jej do siebie. A przecież... Tak bardzo pragnąłem wziąć tę młodziutką, wiotką dziewczynę w swoje ramiona i, i nie wypuścić, nie wypuścić jej już nigdy, nigdy... Ładniutka buzia Anity nagle spochmurniała, spąsowała. Chciałem ją jeszcze zatrzymać przy sobie, powiedzieć, że... ale ona sprytnie, lekko, jakby była tylko mgiełką, uwolniła się z moich objęć.

– Wracajmy na dół, na kawę – powiedziała smętnie.

Schodziliśmy po schodach. Ona ze spuszczoną głową, wpatrywała się w stopnie, którymi mogłaby zapewne zejść z zamkniętymi oczami. Potem, siedząc i pijąc kawę, uśmiechaliśmy się do siebie jakoś tak połowicznie. Rozmawialiśmy nieskładnie o pięknej pogodzie w październiku, o nadmorskim bulwarze, o żarłocznych mewach... Popijając kawę i mocząc ciągle w tym samym kieliszku wargi, wracaliśmy rozmową do przypadków, które nas dzisiaj zbliżyły. Rozmawialiśmy o czerwonych światłach na przejściu, które nas zatrzymały, o naszej jednakowej decyzji pójścia na bulwarowe wagary, o naszym urodzinowym

dniu... – Ciągle dziwiąc się tym wszystkim zbiegom okoliczności, dziwiąc się zdarzeniom, które nas dzisiaj połączyły.

Kiedy stałem już w przedpokoju, trzymając w ręku aktówkę, An nagle znalazła się znowu przy mnie. Oplatając mnie zaborczo rękoma, przywarła do mnie. Wyczułem jej drżenie. Przycisnąłem ją z całych sił, mocno, mocniej do siebie i... Wchłaniałem, wchłaniałem łapczywie smak jej ust swoimi, wchłaniałem nozdrzami, całym sobą zapach jej włosów, jej ciała, jej całej – tak mocno, tak bardzo usilnie, jakbym chciał ją i tę chwilę, zatrzymać na całe, całe swoje dalsze życie. Na całe! W tej chwili, w moherowej miękkości sukienki, w gibkości jej ciała odnajdywałem coś, co przytrafiło mi się po raz pierwszy, jedyny w życiu...

Minęły cztery lata. Byłem już po rozwodzie. Jak się okazało, żona od prawie pięciu lat (a może i więcej) zdradzała mnie z moim „przyjacielem” – tenisistą. Po rozwodzie, zabierając dzieci, wyjechali do Wiednia, gdzie razem zamieszkali, dostając mieszkanie i pracę na kortach.

Żyłem sam. Z dnia na dzień zatapiałem się bezgranicznie w pracy, tworzyłem nowe fasony płaszczy, kostiumów, marynarek, wymyślałem nowe technologie poszczególnych faz szycia ubiorów. Starłem się, by klienci nie odczuli mojej traumy, by moja pracownia ciągle trzymała wysoki poziom usług.

Kończyłem właśnie czterdziesty czwarty rok życia. Znowu dwunastego października słońce rozświetliło Gdynię, tak jak kiedyś... Od rana było słonecznie, bezwietrznie, babiolatowo... Tylko pójść nad bulwar... Mimo to, stawiałem się w pracy na czas, chyba trochę smętny, rozżalony na swój los. Pracownicy pamiętali o moich urodzinach. Na wystawie już stał ogromny wazon pełen róż. Nim wziąłem się za krojenie, przyjąłem od nich i przybywających do pracowni przyjaciół, życzenia wznoszone kieliszkami szampana. Z Wiednia zadzwoniły też moi chłopcy:

– Tato, u nas wszystko ok! Życzymy ci dużo, dużo zdrowia... Opowieści o swoich sukcesach na kortach i w nauce, zaczynali już „brudzić” germańskim akcentem, już go u nich wyczuwałem.

Kiedy zbliżał się koniec dnia, a ja zamiatałem pracownię pełną ścinków po krojeniu, otworzyły się drzwi i weszła para młodych ludzi. On wysoki, z parodniowym zarostem i długimi, gęstymi, układającymi się w loki a’ la Wodecki włosami – artysta – pomyślałem. Już od progu, uśmiechając się, on zaczął mówić pierwszy:

– Byłem tu u pana w sprawie garnituru do ślubu. Sam mi pan wtedy doradził, żebym jednak przyszedł z moją panią... przyszłą żoną. Jesteśmy...

– Aaaaanita? An?!

– Ty ?!

Leżeli w sypialni na swoim szerokim łóżku, oddychali ciężko. Przed chwilą sycili się sobą. On jej zapachem, smakiem, oczami chowającymi się za rozkosz. Ona tym wszystkim, co dostała od niego przed chwilą, ale i tym, co otrzymywała nie tylko wtedy, gdy się kochali bez opamiętania, ale i co dnia - zawsze, gdy tylko mogli być razem, tworząc rodzinę.

An, z lubością obserwowała każdy ruch męża, z aprobatą patrzyła na tę jego codzienną, wysmakowaną elegancję. Sama też nie musiała domagać się od niego spojrzeń, w których odnajdywałaby uwielbienie dla siebie. Wiedziała, że i on kocha ją całym sercem, że jest nią zauroczony. To był szósty rok ich szczęśliwego pożycia, ich wielkiej małżeńskiej miłości.

– Wiesz, wtedy na bulwarze, kiedy ja karmiłam mewy, a Ty nieśmiało zbliżałeś się do mnie... No wiesz, wtedy, w nasze urodziny, gdy byliśmy u mnie w domu... (Och, jak często wracali oboje do tamtych chwil...) Już wtedy pragnęłam Ciebie, jak nikogo na świecie. Tak bardzo chciałam się wtedy kochać z Tobą. Ten

koniak... Powinieneś być to wtedy wykorzystać... Byłbyś pierwszym moim mężczyzną... Pierwszym i może jedynym? – śmiała się, obcałowując jego usta.

– Ach! An... Wierz mi, że już w tamtej chwili, tam, na bulwarze, stawiałaś się dla mnie kimś tak wyjątkowym, niepokalanym i, dlatego - niedotykalnym. Tylko, dlatego wtedy Cię nie wziąłem, bo, patrzyłem na ciebie jak... jak na Matkę Boską. Dzisiaj, wiem, że to było nasze przeznaczenie! Popatrz, akurat do mnie przyszliście uszyć garnitur na ten wasz ślub! Ja wiem, jestem przekonany, że przyciągnęła Cię do mnie moja miłość, moja głęboko skrywana tęsknota... Żebyś wiedziała, ile razy czekałem na Ciebie, łudziłem się, że spotkam się z Tobą w tym samym miejscu tam, na bulwarze... Aż w końcu, stało się! Musieliśmy być sobie przeznaczeni! Pamiętaj, zawsze, zawsze będę Cię kochał najgłębszą, najgorętszą, najmocniejszą miłością, An... - czuł jej bicie serca łączące się z jego biciem. Próbowwała zamykać mu usta, delikatnie gryząc jego wargi, mimo to szeptał miłościwie: - Jesteś dla mnie wszystkim, wszystkim na świecie... Jego dłoń, jego palce, znów wyczuwały śliskość w aksamitnym wnętrzu - tę śliskość, która zawsze nieprzytomnie wzmagала w nim pożądanie. Był też już gotowy...

– Chwila, chwila, słyszysz? Chyba popłakuje Martyna, zajrzę do niej - wracam! Zaraz wracam!

Od sześciu lat jesteśmy z An małżeństwem. Nasza córka w przyszłym roku idzie do szkoły. An jest projektantką, wizażystką w dużej konfekcyjnej firmie. Stara się, również mieć wpływ na wizerunek mojej pracowni, pomaga mi w jej promowaniu.

Moja była żona i dzieci mieszkają w Wiedniu. Dzieci kończą już studia i ciągle odnoszą sukcesy na kortach. Mam z nimi sympatyczne kontakty. Między turniejami odwiedzają mnie w Gdyni.

A tak w ogóle, jestem szczęśliwym człowiekiem.

Opowiadanie dedykuję Anicie Fitzermann mojej najpiękniejszej koleżance z klasy 6 B, która w latach pięćdziesiątych wyjechała najprawdopodobniej do Izraela.